

Kronika

tygodniowa

Kronikarz musi być, podobnie jak encyklopedia, uniwersalnym i umieć pisać o wszystkim, czego tylko zapagnie dusza Czytelnika. Stale z jednej beczki czerpać mu nie wolno, chyba, gdyby posiadał takie zdolności jak nasi kupcy, z jednej szuflady umiejący wypać różne gatunki kawy lub herbaty, a z jednego gąsiora łać rozliczne rodzaje wina.

Beczki, do których stale zagląda, to polityka i aprowizacja. Ale zaś unika wszelkich wzmianek o sztuce, bo to teren bardzo niewdzięczny, podobnie jak tereny plebiscytowe dla Polski.

Kraków zresztą mało się wogóle interesuje sztuką i stąd to pochodzi, że się u nas więcej i mówi i pisze o takim naprzykład zjeździe szewców, niż o posiedzeniu konserwatorów. Łatwo to zresztą wytłumaczyć. Bez sztuki obejść się można, bez buków nie, choć chodzenie boso wpływa według teorii s. p. ks. Kneippa bardzo dodatnio na stan zdrowia, a ojcowie rodający dodają z westchnieniem: I na kieszeni!!! Trzeba się ponadto znać na tem (a przynajmniej powinno!), o czym się ma pisać, kronikarz zaś musi się przyznać, że, co się dotyczy sztuki, jest dyletantem. I patrzeć na jej dzieła nie umie, nie słyszy też wszystkiego tego, co wielcy znawcy muzyki, jedynie smakowi dopinają, co ile rozchodzi się o sztukę mięsa; mogli by o niej coś powiedzieć. Niestety, byłoby to jedynie wspomnienie z przeszłości, sztuka mięsa należy bowiem do owoców zakazanych dla dziennikarza...

Pozatem znawcy sztuki, n. p. pan Jasieński, jakoś bardzo kiwają głowami, zapominając o niej, utrzymując, że rzeźba u nas poprosiła... guzik, a malarstwo w powiśkach. (I zapewne dlatego nasi młodzi artyści tak się lubią w... złotych kolorach...)

Trzeba też spoglądać na dzieło sztuki nie temi oczyma, jakie nam Pan Bog umieszcza po obu stronach nosa, jeno oczyma duszy, mającemi to do siebie, że jeżeli się zepsują, nie idzie się do doktora Majewskiego, Berezowskiego lub Witauńskiego, lecz dawniej do ora Żuławskiego, dziś zaś do profesora Pilza. A i im trudno nieraz znaleźć lekarstwo na chorobę „ocznej duszy“.

Każu pewnego jeden z artystów nowego kierunku pokazywał kronikarzowi najnowszy płód swego twórczego ducha.

— I jakie się panu podoba? — zapytał.

— Wcale!... Wcale!... — odparłem. — Jeśli się nie mylę, to widok ratuszowej wieży przy świetle zachodzącego słońca?...

— Co też panu przyszło do głowy?... To portret damy!... — poczem wydał wargi z pogardą, rzucił pod mój adresem słowo „mydlarz“ i odeszedł bez pozegnania.

Zupełnie tak samo znam się na nowoczesnej muzyce, choć dawniej twierdzono, że mam w tym kierunku zdolności. Jeden z wpływowych krewniaków chciał mnie nawet zrobić nauczycielem śpiewu choralnego w szkole głuchoniemych i sam nie wiem, co stało się mu na przeszkodzie, że ta nominacja wówczas nie doszła do skutku.

Bardzo zatem Czytelników przepraszam, że do beczki ze sztuką nie sięgam i proszę aby mnie mieli za wytłumaczonego.

W kwestjach pedagogicznych natomiast mogę zupełnie śmiało głos zabierać, sam bowiem przez długi urzędowanie losu pracowałem na tej niwie.

A sposobność się właśnie nadarzyła, gdyż, dzięki wojnie, dotychczasowe zasady pedagogii uleć mają gruntownej zmianie, naturalnie, tak jak wszystkie obecnie, na lepsze. Dotąd głoszone, że „milczenie jest złotem“, ale nie wtedy, gdy nauczyciel o coś się pyta, obecnie Wioszka, pani Montessori wypowiada nowe zasady wychowania, nazwane „pedagogiką milczenia“. Im kto potrafi wytrwale milczeć, tem pewniejszy daje dowód, że jest mądry. I, jeśli ktoś na wszystkie pytania przy egzaminie odpowie milczeniem, zdał egzamin z postępowem celującym.

W ministerstwie wyznań i oświaty opracowują już nowe instrukcje dla szkół w tym kierunku. Nowy system będzie zupełnie równowartościowy z dawnym „domowym wykształceniem“, może je nawet i zupełnie zastąpi.

Jedno tylko w głowie mi się pomieścić nie może. Czytam w artykule odnosnym, że nauczycielki przychodzą między dzieci, przypierają nroczyste miny i tak przez to oddziaływują na młode pokolenie, że ono popada w pewien rodzaj hipnozy, a w tym czasie coś

się tam w umysłach „krystalizuje“. Taka „godzina milczenia“ powtarza się kilka razy na dzień, jest jednak dla pań profesorów ogromnie męczącą. O tyle poświęcenia nikt nie posądziły nawet przedstawicielki płci nadobnej, znane z tego, że usta ich muszą pracować stale, jeżeli nie na chwałę Panu Bogu, to bodaj na pożytek bliźnich.

W tej kwestyi zainterpelowałem moją znaną Weronikę, aby zasięgnąć jej zdania. Na zapytanie, czy kobieta potrafi milczeć przez całą godzinę, odpowiedziała:

— Naturalnie!... Zwłaszcza, jeśli musi! Przez ileż godzin w nocy nie odzywa się wcale?...

Biedaczka!... Nawet nie wie o tem, że stale w nocy rozmawia ze sobą, by czasu nie zmarnować...

Zatem „pedagogika milczenia“ to najnowszy wynalazek na polu wychowawczej pracy, a ponieważ nikt im praktyczności a zwłaszcza wygodności nie odmówi, można być pewnym, że się łatwo przyjmie i wyruguje stare, zacofane metody. Starym nauczycielom, znanym z ciekawości i przyzwyczajonym do pytania się o wszystko, nieraz barzo natrętnie i zupełnie nie w porę, trudno będzie żyć się z nowymi teoriami, młodsze pokolenie przyjmie je z pewnością zyczliwie.

Odtąd taki protegowany przez któregoś z posłów kandydat na szefa sekcji będzie się mógł wykazać nie tylko metryką i świadectwem szczepienia ospy (naturalnie „z dobrym skutkiem“) także świadectwem z egzaminów, jakich tylko dusza zapagnie, złożonych „z wytrwałem milczeniem“.

Pani Montessori zastąpiła sobie na pomnik jeszcze za życia. Podobno mają go wzniesić w Warszawie, a składki na ten cel płyną bardzo obficie, zwłaszcza z pomiędzy urzędników ministerjalnych najwyższych rang.

Teraz nie nleża już kwestyi, że „milczenie jest złotem“ i to bez żadnych ograniczeń!...

„Pedagogika milczenia“ może więc w rezultacie przynieść niektórym jednostkom realne korzyści, ogółu na niej nic nie zyska, jak wogóle na wszystkich nowych teoriach wychowania, które młodemu pokoleniu co najwyżej przewracają w głowie. Dawniej szkoła uczyła i wychowywała, dziś miła się zupełnie ze swem zadaniem.

„Polityka milczenia“ nie jest natomiast niczem nowym. U nas, zwłaszcza w obecnych stosunkach, zyskała sobie pełne prawo obywatelstwa i trzeba przyznać, szkodzi nam na każdym kroku.

Sąsiedzi nasi, zwłaszcza Niemcy i Czesi, trzymają się zupełnie innej taktyki i wychodzą na tem nie najgorzej. Dłż z nas skórę, gdzie mogą, podstawiają nogę na każdym kroku, a przytem krzyczą, że są naszymi ofiarami, że zachcianność polska niema granic i nawołują koalicję, by ich wzięła w opiekę. Przypomina to złouzieja, który przyłapan na gorącym uczynku, ucieka, aby zmylić pościg, sam krzyczy najgłośniej: „Trzymaj złodzieja!“...

A my na to milczymy, nie wiadomo, czy nie chcąc się narazić sąsiadom, czy koalicji, która wobec tego nie ma nas i za „psie poszycie“ i radaby u nas rzucić jak u siebie na folwarku, pewna, że się nikt nie odezwie. A, że „kto milczy, ten się zgadza“, niż też dziwnego, że doszła do przekonania, iż z losem pogodziliśmy się i jest nam dobrze, wobec czego swe sympatyje zwraca stale w stronę „uciśnionych“, jak to widzimy w Cieszyńskim, Prusiech, na Górnym Śląsku. Wszędzie tam dochowuje się święcie neutralności, ale tylko wtedy, gdy biją Polaków.

A my ciągle milczymy, jeśli zaś kto się odezwie, to bardzo niesmiało, wobec tego utarło się już w całej Europie przesvědzenie, że Polak to bardzo potulne stworzenie i można na skakać po głowie.

Gdyby tak nie było, z pewnością nie doszłoby do podobnych scen, jakie rozgrywają się obecnie na Śląsku Cieszyńskim, w Bytomiu, Kwidzynie, Olsztynie i t. d.

Widocznie jednak miarka się przebrała, bo stał się cud, i Sejm przemówił raz przeciez energicznie i po męsku. Czy jednak nie skończy się tylko na słowach?... Czy ten zapar zbyt rychło nie zgaśnie?... Należałoby sobie życzyć, aby tak nie było i kto powiedziałby, niech powie i b, to jest nie ograniczy się na słowach, lecz przystąpi do czynu. Same słowa, czynem nie poparte, są tylko kiwaniem palcem w bucie, a z tego nikt sobie nie robi, bo tego nawet nie widzi (chyba gdy buty podarte, a o to dziś bardzo łatwo!... przyp. zecera).

Zatem należy przejść do „polityki czynu“, która u nas, niestety, nie cieszy się zbytnią popularnością. Daleko wygodniejszą jest polityka wstrzymywania się, a hotując jej i wielcy i mali. Każdy z nas, jeśli przyjdzie do czego, skromnie i dyskretnie usuwa się w kąt i powiada:

— Bez jednego żołnierza będzie wojna!... Cnoć mnie nie będzie dawać sobie radę!...

A, że tak mówi każdy, powtarza się to, co się

raz zdarzyło na weselu a rabina. Wierni znosili mu po fiaszce wina w prezencie, wino to zlewano do beczki. Działwa Izraela jest przemysłowa, to też ten i ów powiedział sobie, że, choć zamiast wina przyniesie wody, rabin tego nie pozna. Niestety, zbyt wielu tak postąpiło i w rezultacie przekonano się, że beczka była napełniona wodą.

Ale rabin się zemścił. Zaprosił ofiarodawców, ugościł ich winem, które przynieśli, i nie wypuścił z domu, dopóki beczki nie wypróżnili.

Cos podobnego dzieje się u nas na porządku dziennym. Widzieliśmy to przy wyborach do Sejmu. Ten i ów powiedział sobie, że się bez niego obejdzie i wynik był taki, że beczka napełniła się wodą, to jest z urny wyszli tacy posłowie, jakich nam nie było potrzeba. Los zemścił się też na nas, wypijamy oną wodę i nie możemy dojść do dna.

Niechaj jednak kto przypadkiem nie sądzi, że tak jest zawsze!... Broń Boże!... Niech tylko dojdzie do wiadomości, że jest do obsadzenia jakaś tusta posadka, jakaś synekura, kandydatów zjawia się cała moc, każdy uważa się za najgodniejszego, i, jeżeli Fortuna tyłem się tu odwróci, uważa się za pokrzywdzonego. Piątuch posad przyjąłby każdy nawet i cały tuzin, z zaszczerzeniem przecież, aby szlachetnie jego zdrowie nie na tem nie ucierpiało.

Jeżeli zaś tak losy zrzadzą, że pan X w nagrodę za zasługi, jakie położył lub dopiero położyć ma zamiar, zaliczony zostanie w poczet ojców miasta, choć o to wszelkimi siłami zabiegał, udaje, że jest przez los prześladowany i obowiązki swe raźnie spełnia, aby się zbyć, na posiedzeniu nie przychodzi, nie interesuje się wogóle niczem, co dotyczy dobra ogółu, czutym natomiast jest nadmiernie, o ile cos mogłoby go dotyczyć osobiscie. Dostawę dla gminy, jakiś kramiec, zaraz przyjął gotów, naturalnie jedynie tylko ze względu na dobro miasta i współobywateli. Sinsznie też w uległym tygodniu wystąpił radca Holeksa z zarzutem, że koleday z rady zbyt lekko traktują swe obowiązki i nie troszczą się bynajmniej o sprawę gminy. Radcy się oburzyli, że spotkał ich niesłuszny zarzut i, aby udowodnić, że mówca miał rację, nie do czekali do końca posiedzenia, lecz wynieśli się chytkiem po jednemu: ten do domu na kolację, tamten do knajpki na bombkę, tamci jeszcze gdzieś indziej, a na posiedzeniu miano omawiać tak ważną sprawę, jak budżet gminny, który w tym roku zamyka się wyjątkowo nadwyżką w kasie cos około dwa tysiące marek, ale... po wliczeniu różnych pożyczek i niepewnych dochodów. Właściwie jest niedobór i to bardzo poważny, bo przechodzący dwadzieścia pięć milionów. Z tego wynika, że Kraków jest wielkiem miastem i że... powinien mieć swą własną operę“.

A co taki wybraniec losu, poseł, radca lub inny dygitarz naopowiada się o swych trudach i kłopotach, co on to miał zamiar zdziałać, a co ma jeszcze w planie i to wszystko dla dobra ogółu!... Słyszając jego słowa, powiadamy:

— Takich nam więcej!... Oby tacy mężowie rozdili się na kamieniu!

Tak powinno się mówić, gdyby owi panowie w samej rzeczy robili to, czem się chwala, to jest gdyby słowa ich szły w parze z czynami.

Niestety, tak nie jest!... Od słów do czynów bardzo daleko!

A jeśli kiedy, to właśnie w obecnych czasach potrzeba nam mężów, którzy potrafiliby połączyć „politykę czynu“ z „polityką milczenia“, co należy rozumieć w ten sposób, że każdy sumiennie wykonuje, czego się podjął i nie będzie *urbi et orbi* trapić, niczem trąpa archaniołska, co zdziłał i jak się zasużył!... Niech tylko robi, co duń należy, a ocenę zostawi społeczeństwu, które z pewnością odda mu, co się mu słusznie należy.

O ile „pedagogika milczenia“ pani Montessori miałyby w tym kierunku wpłynąć dodatnio na młode pokolenie, byłbym za tem, by ją zastosować w jak najszerszych rozmiarach, choć z zastrzeżeniem, że jestem wielkim pici nadobnej zwoleńnikiem, w wszelakie wynalazki, o ile one pochodzą od jednostek rodzaju żeńskiego, jakoś uwierzyć nie mogę, wytrącając z rąk męża.

Może się przecie mylę!... Wojna wyrzuciła świat do góry nogami, wytrącając z rąk mężczyzn berło, które, zdawało mu się, dzierżył tak silnie! To się jednak poprawi, bo do końca świata mamy jeszcze cos około dziesięć milionów lat. Wróć więc mężczyzna do danego znaczenia, ale, niech się aczy pracować i w myśli zasad pań Montessori, milczeć... Głównie sprzykrzyło się już widocznie i rodzajowi żeńskiemu!...

